

Rekolekcje Wielkopostne – Wierzyć dzisiaj

Drukowanie poniższego tekstu jest możliwe pod warunkiem zachowania w tekście drukowanym informacji znajdującej się w stopce każdej strony.

Czwartek – V tydzień WP

Nauka 37 – Przekroczyć stereotypy

O swojej pracy katechetki w szkole opowiada Sylwia. Jest tu kilka bardzo ciekawych myśli i spostrzeżeń, którymi chciałem się dzisiaj podzielić. A wszystko to ustawicznie w ramach pierwszego, podstawowego pytania: „Jak wierzyć dzisiaj? Jak tą wiarą dzielić się z innymi?”

Odkąd pamiętam byłam bardzo pobożna - mówi Sylwia. Należałam do Ruchu Światło-Życie, a gdy byłam w trzeciej klasie liceum proboszcz mojej parafii zorganizował za pośrednictwem kurii diecezjalnej studium katechetyczne. Zaczęłam uczestniczyć w tym kursie, a gdy go skończyłam, zdałam maturę i postanowiłam pójść na studia. To bardzo nie podobało się mojemu księdzu, ponieważ myślał, że będzie miał katechetkę, a ja mu uciekłam na polonistykę do Krakowa

Studia

Na czwartym roku studiów Sylwia przypomniała sobie o swoim dyplomie katechetycznym i postanowiła poszukać pracy. Instytut polonistyczny znajduje się nie opodal kurii i któregoś dnia w drodze na zajęcia wstąpiła tam i zostawiła swoją ofertę pracy na pół etatu. I tak się zaczęło. Po dwóch tygodniach zadzwonili z kurii z propozycją pracy w szkole podstawowej. Byłam dumna - wspomina - bo ja, studentka studiów dziennych, mogłam podjąć pracę, a tym samym odciążyć trochę moich rodziców.

Katecheza w podstawówce

W szkole podstawowej przepracowała półtora roku. Nadszedł czerwiec i wiele spraw w jej życiu stanęło pod znakiem zapytania. Kończyła studia i przyszło postawić sobie pytanie o własną przyszłość. Po roku prowadzenia katechezy w podstawówce doszła do wniosku, że praca ta nie daje jej satysfakcji, że chce czegoś więcej, że nie bardzo nadaje się do pracy z małymi dziećmi.

Zaczęły się wakacje

W sierpniu zajrzała do kurii, aby dowiedzieć się czegoś o możliwości dalszej pracy w szkole. Była wewnętrznie rozbita i miała poczucie, że nic sobą nie prezentuje. W kurii spotkała księdza, który zaczął z nią rozmawiać. Nagle ni stąd ni zowąd usłyszała pytanie: - Chciałabyś pracować w liceum? Jasne! - odpowiedziała. Miałam kilka takich sytuacji w swoim życiu - wspomina Sylwia - że czegoś bardzo pragnęłam i to się spełniało. Praca w liceum była moim wielkim pragnieniem, myślałam sobie, że jeśli miałabym uczyć religii, to najlepiej ludzi, którzy mają określone problemy, stawiają konkretne pytania, ludzi, którzy czegoś szukają...

W liceum

Poszła do księdza proboszcza, który przyjął ją bardzo nieufnie. Zdaję sobie sprawę z tego, że ksiądz mi nie ufa - powiedziała. Jeżeli więc coś będzie nie tak, proszę mi o tym powiedzieć. Po kilku przeprowadzonych przez Sywilię lekcjach na katechezy zaczęły przychodzić osoby, które początkowo deklarowały, że nie będą chodzić na religię.

W listopadzie przyszła do niej dziewczyna i mówi:

"Jestem ochrzczona, ale nie uważam się za chrześcijankę, raczej za osobę poszukującą. Czy mogłabym chodzić na pani lekcje?..."

Takich przypadków było kilka i były one dla Sylwii znakiem, że jest tym ludziom potrzebna. Zdarzały jej się także ciekawe rozmowy z niektórymi osobami z grona pedagogicznego. Nie

przeszkadzało mi to - mówi Sylwia - że niektóre osoby mają negatywny stosunek do Kościoła. To, że ktoś określa się mianem osoby niewierzącej i nie chodzi do kościoła, nie zawsze jest wyrazem jego złej woli. Często przyczyna leży gdzieś głębiej.

Mogłam zostać dewotką

Kiedy rozpoczynała katechezy w liceum, zastanawiała się, co było dla niej najważniejsze, czego najbardziej potrzebowała, gdy miała tyle lat, co jej uczniowie? Już wtedy byłam osobą bardzo zaangażowaną religijnie, ale było to dość powierzchowne - wspomina. Gdybym dalej trwała w tej swojej ciepłej pobożności nie wchodząc głębiej w Słowo Boże, byłabym dziś pewnie niezłą dewotką. Byłam chrześcijanką, chodziłam na pielgrzymki, grałam na gitarze, miałam określone środowisko, ale nie umiałam odpowiedzieć na pytanie, o co tak naprawdę chodzi w chrześcijaństwie.

W pewnym momencie mojego życia przeżyłam coś, co się nazywa drugim nawróceniem. Zaczęłam odkrywać, że jestem człowiekiem, który ciągle musi się nawracać, że nie wystarczy trwać w tradycjonalizmie, w bezpiecznych rytuałach, ale trzeba naprawdę szukać Boga, wsłuchiwać się w Jego Słowo, w każdej chwili życia szukać Jego woli... Gdy miała 16, 17 lat, przeżywała wiele skrupułów, bo miała gdzieś w sobie zakodowany głęboki lęk przed Bogiem.

Pamiętam siebie z tego okresu - wspomina - ponieważ wtedy pisałam pamiętnik. Nie miałam obok siebie osoby, która by mi wytłumaczyła, skąd się biorą moje problemy i jak je rozwiązywać. Dopiero uczestnicząc w spotkaniach będących pewną formą rekolekcji ignacjańskich, zaczęłam odkrywać, na czym polega głębsze doświadczenie Boga i co jest źródłem moich wszystkich trudności.

W klasie

Gdy przychodzi do klasy wie, że staje przed ludźmi, którzy mają podobne problemy jak ona, gdy była w ich wieku. Wie, że każdy z nich przeżywa własne trudności i po swojemu na nie reaguje. Jeden się buntuje, maluje włosy na różowo, pali papierosy, ktoś inny próbuje sprowokować nauczyciela...

Miałam uczennicę - wspomina - która przez cały miesiąc podczas lekcji trzymała nogi na ławce. Mogłam ją oczywiście od razu upomnieć, zagrozić uwagą do dziennika, ale nie zrobiłam tego. Przychodząc do tej szkoły miałam bowiem świadomość, że jestem posłana do tych ludzi i że moja uczennica przez swój gest chce mi coś przekazać. Ona nie potrafi do mnie przyjść i powiedzieć:

"Słuchaj, jest źle, nie rozumiem świata, nie rozumiem swojej mamy, nie rozumiem swoich kolegów, nie rozumiem siebie!..."

Ona przychodzi i myśli:

"Ja tej babie położę nogi na ławce. Ciekawe co ona mi zrobi?"

Nic nie zrobiłam.

Dopiero po miesiącu powiedziałam do niej:

"Proszę cię, zdejmij te nogi z ławki, bo mi to naprawdę przeszkadza".

Ale te słowa były już zupełnie inaczej przyjęte, bo ona zdążyła mnie poznać i wiedziała, że nie jest to z mojej strony jakaś próba dominacji, ale zwrócenie uwagi, że po prostu boli mnie jej zachowanie. Od tej pory już nigdy w mojej obecności nie położyła nóg na ławce.

Oni właśnie tacy są

Mówią do mnie przez swój sposób bycia, czasami chamski, bezczelny, mówią też poprzez swoje znudzenie. Trzeba zmienić język religijny. Wiele czasopism młodzieżowych podaje informacje w taki sposób, by zniewolić człowieka - mówi Sylwia. Podają to w bardzo atrakcyjnym opakowaniu. Posługują się chwytliwymi hasłami, takimi jak: miłość, wolność, autentyczność, szczerłość, luz. "Porządni katolicy" widząc te hasła - grzmią. Mówią, że to jest złe, że tak się nie powinno mamić ludzi, itd. Wtedy ci młodzi ludzie jeszcze bardziej się zacietrzewiają, bo czują, że ktoś chce im odebrać ich wolność. Myślę, że trzeba zmienić język religijny.

Kiedyś mówił o tym o. Kłoczowski OP.

Zrozumiałam, że my musimy do nich mówić takim językiem, jakim mówi do nich świat. To ja im też mówię:

"Musimy być na luzie, musimy być wolni!", ale pod tymi pojęciami rozumiem inny luz i inną wolność. Jestem wolna, bo doświadczam Bożego działania i Bóg mnie uwalnia.

Sama muszę być dla nich świadectwem

Media ukazują, że głównym czynnikiem manipulacji jest Kościół, starodawna, klerykalna, skostniała instytucja, która wszystkiego zabrania. Młodzi chłoną te opinie nie zdając sobie sprawy, że są w zupełnie innej niewoli, w niewoli obiegowych opinii, podawanych przez gazety, radio, telewizję... Ja nie mogę przyjść do nich i powiedzieć wprost:

"Żyjecie w kłamstwie! Kościół wcale nie odbiera nikomu wolności, wręcz przeciwnie" - mówi Sylwia.

Wtedy oni od razu zaczęliby się bronić używając tych wszystkich gazetowych argumentów.

Dlatego na początku mojej pracy mówiłam przede wszystkim o Bogu i oni powoli zaczęli dochodzić do tego, że coś w ich dotychczasowym myśleniu było nie tak. W człowieku są określone prawdy, świat operuje pewnymi pojęciami i dziś toczy się walka o człowieka i jego wnętrze. I jeżeli pokaże się chrześcijaństwo takie, jakie ono jest, a nie jego zafałszowany obraz, ma się szansę dotarcia do tych ludzi.

Często bowiem skostniały język religijny sprawia, że młody człowiek ucieka, ponieważ ciągle słyszy tylko o wymaganiach, o powinności itp., a nie ukazuje mu się, jak bardzo chrześcijaństwo może być atrakcyjne.

Dlaczego muszę chodzić do kościoła?

- Dlaczego ja muszę chodzić w niedzielę do kościoła? - pyta Sylwię młody licealista.

Sylwia odpowiada:

„Wcale nie musisz!”

- Jak to nie musisz? Jest przecież takie przykazanie! - dziwi się uczeń.

A co jest najważniejsze w chrześcijaństwie? - pyta Sylwia.

- Najważniejsze w chrześcijaństwie jest doświadczenie spotkania z Bogiem, odkrycie tego, że Bóg mnie kocha - recytuje uczeń.

- No właśnie! - mówi katechetka.

Odkryłeś już tę rzeczywistość?

- Jeszcze nie.

- To życzę ci powodzenia!

- Szukajmy dalej, będziemy to odkrywać.

- A dlaczego nie lubisz chodzić na Mszę?

- Bo czasami są takie nudne kazania.

- A czy ty zawsze mówisz pięknie i mądrze?

- Nie zawsze.

- Jeżeli doświadczysz spotkania z Bogiem, to następnym etapem będzie dojrzałe uczestnictwo we Mszy świętej. Wtedy nie będziesz chodził do kościoła tylko dlatego, że ci ktoś każe, ale dlatego, że chcesz.

Ryzyko

Wiem, że tym co im mówię wiele ryzykuję - mówi Sylwia - ale albo będziemy mieli porządną chrześcijan, którzy wiedzą o co w tym wszystkim chodzi, albo będziemy mieli niewolników, którzy ze strachu, z konformizmu zachowują tylko zewnętrzną poprawność.

Pierwszą jej lekcją była analiza przypowieści o synu marnotrawnym.

Pokazała uczniom, że obaj synowie są grzesznikami i obu Bóg tak samo kocha.

Dla nich było to szokiem, bo w pierwszej chwili byli przekonani, że jeden z synów jest dobry, a drugi zły.

Ukazała im, że każdy człowiek jest grzeszny, że jest słaby, że może popełnić największy grzech, że bez Bożej pomocy nie potrafi kochać bliźniego. Chodziło jej o to, żeby zrozumieli, że są słabi, że mało mogą.

Drugą prawdą, którą im pokazała, była prawda o Bogu, który ich kocha właśnie takich chorych, zranionych, zagubionych, czasem wulgarnych, bezczelnych... Pokazywała im takiego Boga, a oni denerwowali się, kłócili i wychodziły takie paradoksy, że z jednej strony atakowali Kościół, a z drugiej bronili ogólnie przyjętego nurtu religijności tradycyjnej.

Oni się boją...

Oni bardzo się boją coś stracić - mówi Sylwia.

Boją się stracić przyjaźń, miłość, chłopaka, dziewczynę.

Oni wszystko chcą mieć, a ja im udowadniam, że dla Boga warto coś stracić.

Dała im zadanie domowe, aby wypisali sobie to, co najbardziej kochają, a potem po kolei to skreślali uświadamiając sobie, jakie to rodzi w nich uczucia, gdy np. tracą swoją ulubioną piłkę...

Po tej pracy domowej przyszła do niej dziewczyna i mówi:

Pani profesor, ja nie mogłam tego skreślić!

Trzymałam długopis w powietrzu i nie mogłam go przyłożyć do kartki...

Świetnie - odpowiedziała - wychodzi prawda o tobie.

Potem trzymała ich trochę w niepewności, zanim pokazała, że jeśli człowiek pozwoli się wypełnić Bogu, to On oddaje mu ponownie to co utracił, tylko że wtedy jest już wolny i potrafi z tego właściwie korzystać.

Wówczas mogli uświadomić sobie, czym jest prawdziwa wolność.

Przekroczyć stereotypy

Ja im niczego nie narzucam - mówi Sylwia.

Oni sami dochodzą do tych wniosków.

Najpierw analizujemy postawę Samarytanki względem Jezusa, a potem pytamy o naszą sytuację.

Wtedy uświadamiają sobie, że też pragną miłości i dochodzą do odkrycia, że chrześcijaństwo jest spotkaniem dwóch pragnień, pragnienia człowieka i pragnienia Boga.

Przekazuję im coś, co sama przeżywam - mówi Sylwia. Ponieważ ja sama nad tym myślę, ja nad tym medytuję. I mam świadomość, że gdybym nie żyła Słowem Bożym, niewiele mogłabym im przekazać.

Odkłamać obraz Boga

Dzień rozpoczyna od modlitwy. Odmawia dziesiątek różańca, bo ta modlitwa, jak twierdzi, doskonale wprowadza w kontemplację. Potem medytuje nad Słowem Bożym i próbuje zaplanować dzień, który ją czeka. Często właśnie z tych przemyśleń rodzą się jej katechezy. Na początku przyjęła pewien program: odkłamać obraz Boga. To nie jest tak - mówi - że idę na żywioł.

Moje katechezy układają się w logiczną całość. Czasem pewne pomysły podsuwają mi sami uczniowie. Wychodzi na lekcji jakiś problem i zaczynamy go rozwiązywać. Czasami jest też tak, że słucham jakiejś piosenki czy też czytam wiersz i myślę, że to jest świetny tekst i mogę go wykorzystać w katechezie. Tak było z wierszami ks. Szymika czy z książką "Zraniony Pasterz" Daniela Ange'a. Coś mnie poruszyło, zobaczyłam, że jest to przydatne w katechezie i zaczynałam z tego korzystać.

Nie wszystko było trafione.

Po roku pracy widzę, że z pierwszą klasą nie mogę sobie pozwolić na taką formę "spotkań z Bogiem".

Zrozumiałam, że oni bardziej potrzebują zwykłej lekcji religii z wymaganiami i większym trzymaniem się programu nauczania.

W drugiej klasie chciałabym analizować książkę: "Tischner czyta katechizm".

Teraz widzę, że dopiero ludzie będący w trzeciej i czwartej klasie mogą w pełni odpowiedzieć na propozycję medytacji nad Słowem Bożym.

Każdy z nas jest na swój sposób przekazicielem wiary. Ale żeby ja przekazywać, trzeba samemu głęboko i autentycznie ją przeżywać i znać, a przede wszystkim znać i żyć Słowem

Bożym. Bez tej rzeczywistości , bez ciągłego radykalnego odniesienia do Słowa Bożego nasze życie religijne jałowuje i staje się nie tylko nieautentyczne, ale po prostu nijakie.

Wiara więc i dzisiaj wymaga ustawicznie tego samego, **poznania i rozważania Słowa Bożego**.